Rok IV.

Nr. 4. Nr. 4.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 24 stycznia 1874.

Ulica Młyńska Nr. 33

MÓWNICTWO.

Najnowsza z umiejętności historji naturalnéj

przez

Władysława hr. Chotomskiego.

(Ciąg dalszy.)

5. Jakim sposobem bada się w mównictwie dzieje wyrazów mowy?

Gdyby kto podał wiązankę dobrze znanych kwiatów biegłymu botanikowi — zdołałby on, nie będąc nigdy w krajach, w których te kwiaty rosły, oznaczyć, że tak powiem, całe krajobrazy ich ojczyzny, t. j. opowiedzieć, z jakiéj części świata one pochodzą, z jakiego kraju, jaki tam klimat; oznaczyć stopień wilgoci, światła i ciepła, jako i rodzaj ziemi t. j. czy gliniasty, wapienny czy piasczysty; powiedzieć, czy one na skałach, czy w bagnach rosły; czy dziko czy hodowane; w ostatnim razie nawet sposób ich uprawy, ich życia, a ztąd dać wyobrażenie o oświacie, zwyczajach i obyczajach ludów zamieszkujących te miejsca. Tak samo i biegły w mównictwie odtworzy z pojedyńczego i zbadanego wyrazu podobne nieomal obrazy.

W poprzednim ustępie przytoczyliśmy taki wyraz: p ł u g. Otóż spostrzeżono, że ten wyraz powtarza się w języku czeskim jako p l u h; w niemieckim jako: p f l u g; w angielskim jako: p l o u g h, i to w tych czterech w tém samém znaczeniu; w jednym z dyalektów angielskich p l o w znaczy: w ó z; w greckim języku p l o j o n znaczy: o k r ę t, aż nareszcie natrafiamy w zamarłym języku sanskryckim wyraz p l a v a, oznaczający także o k r ę t.

Najstarszym z tych języków jest sanskrycki i z badań dziejowych wynika, że ten zamarły dziś język był językiem żywym, t. j. używanym przez lud żyjący w Indach temu około 4000 lat. Wyraz ten wędrował z ludami z Indów do Grecji i do Sławiańszczyzny, a ztamtąd do Niemiec i do Anglji, — a wszędzie naznacza to samo pojęcie, tę samą myśl główną t j. p ł u ż e n i e, czy to jako p ł u g, p l u h, p l o n g h, p f l u g, czy to jako p l o w w znaczeniu wozu, czy to jako p l o j o n albo p l a v a jako okręt. Jak pług rozdziera ziemię w skiby, tak wóz kołami przerzyna ziemię po któréj się toczy, tak i okręt płuży wodę. Jeżeli ten wyraz przed cztérema tysiącami lat już oznaczał o k r ę t, to samo pojęcie okrętu nasuwa przekonanie, że ludzie mający okręty mieszkali nad morzem, — że znali ciesiołkę i bardzo trudne i sztuczne budownictwo statków wodnych, a mianowicie okrętów; że przynajmniéj o tyle pojmowali astronomję, żeby się mogli kierować po morzu; daléj bez lin, łańcuchów i kotwic okręt się nie obędzie, ani sama budowa onegoż bez bardzo rozległych warsztatów i rozlicznych przyrządów. Sznury czy liny same naprowadzają koniecznie na uprawę lnu, konopi czy łyka; żelazo — na sposoby wydobywania go z łona ziemi, na topienie kruszcu jego i wyrobu na narzędzia. Wyraz więc p l a v a naprowadził nas na lud mieszkający przed 4000 lat w Azji, nad morzem, mający swych uczonych a zatém i szkoły, swe górnictwo, rólnictwo, przemysł, handel, budownictwo, czyli na naród we wysokim stopniu oświaty żyjący 2000 lat przed narodzeniem Chrystusa, o którym historja nic nie pisze i którego ślady pisemne sięgają — jak w poprzednim numerze świadczy Dr. Zaremba — ledwo 800 lat przed narodzeniem Chrystusa. Inne badania dziejowe sprawdzają te domysły i mamy tego pod ręką dowód w pracy dopiéro co wymienionéj: „Dzieje sztuki lekarskiéj.“

Ale nie dosyć na tém.

Wiadomo z historji, że grecki język nie istniał przed

czterema tysiącami lat. Wyraz ploion — okręt z Ind przybył najniezawodniéj do Grecji, a następnie do Sławian i Polski, z tego szczepu do Niemiec, aż nareszcie do Anglji i Ameryki. Z tego wynika, że rólnictwa nauka szła tą samą drogą, — a i tego nie doszukalibyśmy się ze źródeł dziejowych, a tém mniéj z dziejów samych, które owszém odwrotnéjby radeby były drodze, naznaczając wynalazek pługa przedewszyskiém Niemcom.

Oprócz tego są jeszcze inne donośniejsze wnioski. Jeżeli tak się ma z tysiącami wyrazów we wzmiankowanych mowach polskiéj, czeskiéj, niemieckiéj, angielskiéj, greckiéj i sanskryckiéj — jak z wyrazem pług, toż widoczném jest, że te języki ze sobą są spokrewnione, że pochodzą z jednego źródła, z jednéj i téj saméj mowy, czyli, że narody mówiące temi językami, miały kiedyś tę samą wspólną mowę, a przeto i żyły w jednéj i téj saméj ojczyznie!...

Tak oto jednego wyrazu badanie umiejętne doprowadza nas do miłości bliźnich, których polityka, prawo i religja rozdzieliły, — co więcéj poróżniły i rozdrażniły, — a których badanie tworów Boga napowrót łączyć usiłuje — i to stósownie do zasad moralności przez Chrystusa nakazanéj. Nakaże to i religja i polityka i prawo, skoro oświata przez ścisłe umiejętności podawana, znajdzie poznanie i uznanie takie, że prawdy przez nie zdobyte staną się przekonaniem większości ludzi światłych w tych narodach, a mianowicie kapłanów, prawników i polityków, których rzeczywistym jest interesem, jak i wszystkich ludzi: kochać bliźniego i przebaczać mu błędy, a nawet winy, i łączyć wszystkich pod jeden sztandar: Boga, miłosierdzia i najwyższéj miłości. — Wszyscy ludzie są jego dziatwą, a On naszym Ojcem!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HELENA.

Powieść Turgenjewa.

(Ciąg dalszy.)

XXXIII.

Dzień był ciepły, kwietniowy. Na szerokiéj lagunie, która Wenecję dzieli od wązkiego pasa, naniesionéj przez morze, ziemi, znanego pod nazwą Lido, sunęła gondola, kołysana jednostajnie uderzeniami pochylonego nad wiosłem gondoljera. Pod nizkiém jéj nakryciem, na miękkich poduszkach, siedzieli Helena i Insarow.

Twarz Heleny, od chwili jéj wyjazdu z Moskwy, niewiele się zmieniła; wyraz jéj tylko się odmienił: stał się bardziéj myślącym, poważniejszym, wzrok był śmielszym. Ciało jéj nabrało większéj pełni form, włosy grubszemi splotami otoczyły świeżą twarz i czoło. Około ust tylko, w chwilach gdy się nie uśmiechały, nieznaczna fałdka zdradzała tajoną, nieustanną obawę. Wyraz twarzy Insarowa przeciwnie pozostał tenże sam, niezmienny, za to pojedyńcze rysy twarzy zmieniły się ogromnie. Schudł jeszcze bardziéj, zestarzał się znacznie, pobladł i pochylił się; kaszel suchy, urywany męczył go bezustannie, w głąb zapadłe oczy paliły się dziwnym jakimś ogniem. Podczas podróży przeleżał Insarow dwa miesiące w Wiedniu mocno chory i w końcu marca dopiéro przybył z żoną do Wenecji; ztamtąd miał zamiar przez Zara przedostać się do Bułgarji; wszelkie inne drogi były mu zamknięte. Walka już wrzała nad Dunajem; Francja i Anglja wypowiedziały wojnę Rosji a wszystkie ludy sławiańskie gotowe były powstać. Gondola przybiła do wybrzeża Lido. Helena i Insarow przeszli wązką, piaszczystą drogą, obsadzoną nędznemi drzewkami na przeciwny brzeg Lido, od strony morza. Postępowali wzdłuż wybrzeża; przed nimi toczył Adrjatyk błękitne swe fale, huczał i pienił się u brzegów, pozostawiając muszle i kłęby morskiéj trawy na piasku.

— Jakież to smutne miejsce! zauważyła Helena. — Obawiam się czy tu nie za chłodno dla ciebie; ale domyślam się, czemu tu przybyć chciałeś.

— Zimno! odpowiedział z gorzkim uśmiechem Insarow. — Pięknym byłbym żołnierzem, gdybym się miał lękać zimna. A tu przyszedłem .. powiem ci czemu. Gdy patrzę na to morze, zdaje mi się, żem bliżéj ojczyzny. Ona tam, dodał rękę wyciągając w stronę wschodu. Wiatr ten ztamtąd wieje.

— Czy z tym wiatrem nie przypłynie czasem okręt, którego oczekujesz? rzekła Helena; — widzisz tam ten żagiel biały, może to żagiel tego okrętu?

Insasow spojrzał w błękitną przestrzeń, którą wskazywała Helena.

— Rendicz przyrzekł w tygodniu wszystko dla nas przygotować, zauważył. — Na niego, sądzę, że spuścić się można... Czyś ty słyszała Heleno, dodał z nagłém wzruszeniem, — mówią, że biedni dalmatyńscy rybacy swój ołów... wiesz, te ołowiane ciężary, których używają do zanurzania sieci, ofiarowali... na kule! Oni nie mają pieniędzy, żyją z połowu ryb tylko, a jednak z radością oddali ostatek tego co posiadają i cierpią głód teraz. To mi lud!

— Na bok! ozwał się za nimi brutalny głos; usłyszeli głuchy tentent podkowy i austrjacki oficer w krótkim szarym mundurze i zielonéj czapce przejechał koło nich... ledwie mieli czas zejść na bok.

Ponuro spojrzał za nim Insarow.

— On temu nie winien, rzekła Helena, — wiesz, że oni nie mają tu innego miejsca do przejeżdżania swych koni.

— On nie winien, odparł Insarow, — ale on mi swoim krzykiem, swoim mundurem, wąsem, całą swoją zewnętrznością krew do głębi wzburzył. Wracajmy.

— Wracajmy Dymitrze. Tu i bez tego wiatr tak silny. Tyś po swéj chorobie w Moskwie taki był nieostrożny, za toś téż w Wiedniu musiał pokutować. Trzeba teraz być ostrożniejszym.

Insarow nic nie odpowiedział, tylko poprzedni gorżki uśmiech okrążył mu usta.

— Możebyś chciał popłynąć po canal grande? ciągnęła daléj Helena. — Od czasu jak jesteśmy w Wenecji nie zwiedziliśmy jéj jeszcze dokładnie. Wieczorem pójdziemy do teatru, mam dwa bilety do loży; mają dawać nową operę. Dzień dzisiejszy poświęćmy wyłącznie tylko sobie, rzućmy na dziś politykę, wojnę, wszystko, — zapomnijmy o wszystkiém, o tém jedném myślśmy tylko, że: żyjemy razem, razem myślimy, żeśmy na wieki złączeni... Czy chcesz?...

— Ty chcesz tego Heleno, odrzekł Insarow, — — a więc i ja chcę również.

— Wiedziałam, rzekła Helena z uśmiechem. — Chodźże, chodź.

Wrócili do gondoli, wsiedli i kazali zwolna wieść się po canal grande.

Kto nie widział Wenecji w kwietniu, ten nie zna całego uroku tego czarodziejskiego miasta. Łagodne wiosenne powietrze stworzone jest dla Wenecji jak promienna siła lata dla pełnéj przepychu Genui, jak złoto i purpura jesieni dla olbrzymiego, starego Rzymu. Wio-

sna tchnie dopiéro życie w piękność Wenecji, budzi tęskne jakieś w duszy pragnienia, dręczy i drażni nieobyłe z tym widokiem serca jak obietnica blizkiego, nie zagadkowego już ale tajemniczego jakiegoś szczęścia. Wszystko w tém mieście jest jasnością, światłem, otuloném przecież w woń półsenną spokoju; wszystko tam milczy, wszystko nosi na sobie charakter kobiécości zgodny z imieniem, niedarmo to jedno miasto tylko nosi przydomek la bella. Tłumy pałaców i świątyń rzucone tam lekko, czarownie, jak sen uroczy młodzieńczego jakiegoś boga; jest coś, co przypomina świat legendowych wieszczek, coś porywającego prawdziwie w tym zielonawo-szarym połysku cichych fal kanału, w tym milczącém przesuwaniu się gondol, w zupełnym braku wszelkich nawoływań ulicznego tłumu miast innych, braku kół turkotu, hałasu, zgiełku. „Wenecja umiera, Wenecja opustoszała“, powtarzają i jéj mieszkańcy; ale może w czasach tryumfów nawet, największego rozkwitu, największéj piękności brakło jéj tego ostatniego uroku, tego uroku więdnienia. Kto tego nie widział, nie może ocenić; ani Canaletto, ani Guardi, że już zamilczę nowszych malarzy... nie mogą pochwycić tego srebrnego odblasku nieba, tych niknących a przecież pozornie tak bliskich oddali, tego cudownego, w harmonijny dźwięk spływającego rysunku linji i tych zlewających się odcieni kolorytu. Człowiek znużony życiem, w wewnętrznym z niém rozstroju nie powinien zwiedzać Wenecji; gorżkie go obejmie uczucie, jak wspomnienie niespełnionych snów lat dawnych; piękną, uroczą wyda się przeciwnie Wenecja temu, który czuje pełnię zdrowia, w którym pieni się sił potęga; niechaj poniesie swe szczęście pod to czarowne niebo a choćby szczęście jego było nie wiedzieć jak błyszczące, Wenecja wyda mu się zawsze jeszcze ozłoconą niegasnącym blaskiem.

Gondola, w któréj siedzieli Insarow i Helena, płynęła cicho wzdłuż Riva degli Schiavoni, około pałacu dożów, koło Piazetty i wpłynęła w canal grande. Po obu stronach ciągnęły się marmurowe pałace; zdało się, że się przesuwają zwolna nie dając oczom czasu do pochwycenia i rozróżnienia ich piękności. Helena doznawała szczeréj radości, jedyny ciemny obłoczek zaćmiewający błękit jéj szczęścia... oddalał się: Insarow dnia tego czuł się znacznie lepiéj. Dopłynęli aż do łuku mostu Rialto i powrócili następnie. Helena obawiała się dla Insarowa chłodnego powietrza kościołów, natomiast przypomniała sobie o akademji delle belle arti i tam kazała płynąć gondoljerowi. Wkrótce przebiegli wszystkie sale téj niezbyt obszernéj galerji. Nie byli ani znawcami, ani téż dyletantami, nie zatrzymywali się więc przed każdym obrazem, nie krępowali się niczém: serdeczna wesołość opanowała ich niespodzianie. Ku wielkiemu zgorszeniu trzech obecnych tam Anglików Helena śmiała się do łez z św. Marka Tintoretta, który jak żaba spadał z nieba, aby uratować skazanego na męki niewolnika; Insarow natomiast wpadł w extazę na widok grzbietu i łydek owego pełnego energji człowieka w zielonym płaszczu, który stoi na przedniém tle wniebowzięcia Tycjana z rękami wyciągnionemi ku Madonnie; ta Madonna — przepiękna postać niewieścia, spokojnie i majestatycznie wstępująca na łono Ojca — zachwycała Insarowa i Helenę. Wychodząc z akademji raz jeszcze obejrzeli się za Anglikami idącymi tuż za nimi, spojrzeli na ich długie zajęcze zęby, na obwisłe bokobrody... i rozśmiali się; zobaczyli gondoljera i musieli śmiać się znów z jego krótkiego ubrania; spostrzegli przekupkę z siwym warkoczykiem okręconym w około głowy... i śmieli się jeszcze niepohamowaniéj; wreszcie spojrzeli sobie w oczy... i nowym wybuchnęli śmiechem, a gdy usiedli obok siebie w gondoli, uścisnęli sobie mocno ręce. Przybyli do hotelu, wbiegli do swego pokoju i kazali sobie podać jedzenie; i przy stole wesołość nie opuściła ich, wznosili zdrowia pozostałych w Moskwie przyjaciół, sypali pochwały kelnerowi za smaczną rybę i żądali koniecznie żywych frutti di mare (drobne mięczaki); kelner popatrzył na nich, wychodząc wstrząsnął głową i szepnął z westchnieniem: poveretti (biedni!). Po obiedzie udali się do teatru.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Młodemu poecie.

(panu **U. M.**)

Ty marzysz bracie, w zadumie cichéj
Słodką twe serce poi się wonią,
Jak białéj lilji śnieżne kielichy,
Gdy się nad ciemną pochylą tonią
Gwarząc z duchami wodnemi!
Bo tobie młodość użycza skrzydeł,
Które unoszą duszę nad światy,
Tam do krainy cnych malowideł
Wieczystéj wiosny obfitéj w kwiaty,
I jasnéj snami złotemi!

O dzisiaj tobie jeszcze tak snadnie
W gorącém sercu budzić zapały,
Iskrą uczucia ukrytą na dnie
Świat twoich marzeń rozjaśnić cały,
Którego bóle nie kłócą!
O tobie jeszcze wierzyć młodzieńcze,
Że pieśń żywota pełna harmonji,
Że życie sprawdzi sny twe dziecięce,
I sztandar święty poniesiesz w dłoni
A bracia laury ci rzucą!

Lecz przyjdzie chwila, że cię obudzi
Widmo co strasznie szydzi z marzenia,
Że twe zapały ziemia ostudzi,
Zawrą w twém serca głuche cierpienia,
I staniesz smętny wśród spieki!
A w ślad zwątpienia mara podąży,
I w twojéj duszy szpony zapuści,
Żmiją rozpaczy ciebie okrąży,
By perłę uczuć w serca czeluści
Niewiarą zabić na wieki!

W chwili doświadczeń wznieść harde oko,
Mężnego nigdy nie schylić czoła;
Nad wrzawę tłumu wzlecieć wysoko,
Choć zgiełk szyderstwa huczy do koła
Co serce na wskroś przenika....
Do dna wychylić czary żółciowe
I poświęceniem drogi swe znaczyć,
Odebrać w zamian wieńce cierniowe
I tak jak Chrystus braciom przebaczyć:
Zwycięztwem jest męczennika!

Więc stań do walki śpiewaku młody
Niosąc na skroni godło zbawienia,
A wszystkie ducha bóle, zawody
Niechaj przywdziane w szatę natchnienia
Składają pieśni ofiary!
Trwale śród życia mozolnéj walki
Zachowaj myśl twą czystą i jasną,
I niech karmione ręką westalki
Płomienie uczuć nigdy nie zgasną
Na cześć i kraju i wiary!

Ustronie w maju 1872.

✽

Komarze loty po wielkim świecie.

(Artykuł z tajnych archiwów redakcji Tygodnika Wielkopolskiego — nie wart czytania).

Przez świat przelecisz ptakiem,
— przez życie — oraczem.
W. Pol.

Ja niżéj podpisany Chochlik, zły duch, przydany do djablich usług redakcji niniejszego Tygodnika, drzymałem sobie w postaci komara w zagięciach kwiatu brązowego na takimż pysznym kałamarzu. To nieszczęście redakcyjne ustawiono przed niesłychanie mądremi książkami, uszeregowanemi na rozłożystém mahoniowém biórku, stanowiącém cały majątek hrabiowski redaktora. Przed biórkiem zafrasowany mój pryncypał nadaremnie suszył sobie głowę nad uarcydziełowaniem tego pisma.

Z błogiego tego stanu drzymki a najulubieńszéj i najzwyklejszéj méj czynności, zbudził mnie pewien sędziwy pan, wielki miłośnik Tygodnika Wielkopolskiego. Z tego samego tytułu już wypływa, że musi to być pełen zasług i cnót obywatelskich, a z dumą dodamy — nie jedyny taki nasz orędownik.

Przystąpiwszy do redaktora wręczył mu bilet wizytowy pewnéj uroczéj z wielkiego świata damy i radził: ażeby ująć jéj względy tymczasem eleganckim liścikiem, — dla Tygodnika, — mającego stać się wiekopomnym panteonem wiedzy Wielkopolan. „Téj protekcja uskarbiona zjedna ci cały wielki świat szlązko-wielkopolsko-pruski“ dodał — i po pożegnaniu wyszedł.

Redaktorowi aż oczy zajaśniały.

Przypatrywał się on w zachwyceniu prześlicznym krętym rysom tego czarownego imienia z nazwiskiem. Litery biletu rozplątywały się w cudnie piękne kwiaty, perły i owoce — i tworzyły w około najświeższego mającego wyjść na świat numeru Tygodnika — sutą a fantazyjną girlandę, jakąby tylko można tu w Poznaniu ozdobić to pismo. Redaktor — i ja także — westchnęliśmy w głębokim żalu, że publiczność nie życzy sobie mieć tyle artystycznego swojskiego przepychu, — bo jeszcze wstrzymuje się w nieszlachetnéj nieufności i z niegrzeczném niedowierzaniem od abonowania się po pocztowych urzędach... a późniéj one sobie rady nie dadzą z napływem.

„Tak! protekcja wielkiego świata postawiłaby na raz pismo to na szczycie powodzenia, — a w skutek tego hojnie płatni uczeni, literaci i artyści zasypaliby redakcję swemi arcydziełami.“

Na te słowa roztropne, wyrzeczone przez redaktora, — z najuczeńszéj z leżących na biórku książek wyjawiła się przecudnie piękna, czysto greckiego toku głowa kobiéca. Była to głowa Powagi... Niby rozgniewana Junona spojrzała groźnie na redaktora i gromkim, dzwonkowym głosem wyrzekła te słowa:

„Pracuj z wiarą cicho a wytrwale. Bez żadnéj protekcji sam zdobądź wiedzą i pilnością takie stanowisko, o jakiém marzysz. Cóż-bo zachciało ci się wiatr chwytać na polu?... Gdzież chcesz go szukać, — tego wielkiego świata?!... Pokaż mi go gdzieindziéj, jeżeli nie w czczym dźwięku wyrazów, a jeszcze więcéj czczych mrzonkach pasożytów?...

Po tych słowach silném: „doskonale!“ — „w to nam graj!“ zatrzęsły się podłoga, sufit i ściany — i donośne śmiechy czytających czytelników Tygodnika zmięszały zupełnie zdziwionego redaktora.

„To prawda! — Święta prawda!“ rzekł skruszony i upokorzony redaktor.

Tegom się po nim nie spodziewał.

Mościa Pani! zawołałem jeszcze poważniéj niż sama pani Powaga. — Bardzo przepraszam!... Głosząc to wyszedłem ze swego ukrycia, wyprężyłem się w imponującym całym komarzym majestacie, stanąłem śmiało czoło w czoło w obec chmurzącéj się Powagi, jak stawa każdy bohatyr, gdy do walki występuje w obronie wielkiéj jakiéj prawdy.

Mościa pani Powago! Daruj Asyńdźka Dobrodziejka, ale patrząc za daleko zdaje się, że nie dowidzisz tego co jest. Wielki świat był i będzie czém jest, mimo tylowiecznych zamachów i ciosów, które nań wymierzają. Żyjąc w nim, mam honor oświadczyć, że jak Bóg z niczego wywołał wszechświat a w nim i nasz światek ziemski maleńki, — tak i wielki świat na tym małym światku stworzonym był z niczego, przez ludzi salonowych. Są to ludzie genjalni, przejściowi pomiędzy płcią męzką a żeńską, t. j. jaśniéj mówiąc, jest to płeć piękna ze subtelném domięszaniem czegoś z charakteru z płci nie pięknéj, — jak i płeć nie piękna z takimże dodatkiem czegoś z charakteru płci pięknéj. Ta, co do charakteru, obupłciowa natura tych ludzi, wymaga i żywiołu radbym powiedział ptasiego, t. j. ziemno-powietrzno-wodnego. Ich życie odbywa się na subtelnéj granicy pomiędzy dowcipem a brakiem rozumu, pomiędzy uczonością a dziecięcą nieświadomością, pomiędzy rzeczywistością a urojeniem. Są to niezrównani genjalni baletnicy na téj linji nietylko bardzo trudnéj do oznaczenia, ale co jeszcze trudniejszém, to jest, do utrzymania się na niéj. Świątyniami tych kapłanów wielkiego świata są: salony, a te są wszędzie, gdzie się znajdują tacy ludzie do téj godności namaszczeni z urodzenia; bo prawa tego świata nie są pisane, nie można ich się wyuczyć inaczéj jak odczuwaniem i przejrzywaniem samych stósunków tych powyższych sprzeczności. Szczęśliwa ta pośrodkowa, genjalna mierność umysłowa panuje: tak nad mądrości jak i niemądrości polem, nad uczonością i nieuctwem, nad pięknem i brzydotą, nad dobrém i złém. Ztąd odrębna w tym świecie i najskrupulatniéj przestrzegana moralność, któréj nie mogą pojąć ci, którzy téj granicznéj linji nie umieją: czy to uczuć i dopatrzyć się, czy to rozpoznać jéj kierunku. Często zabrnie i niesalonowa istota w ten świat, ale wykluczona z niego mści się tém srożéj, im więcéj pragnęłaby w nim pozostać. Nie wejdą weń nigdy ci co się jęli twardych i gminnych prac, ludzie niedowarzeni, zacietli politycy, zażarci uczeni, ludzie bezduszni, brutalni, zezwierzęceni lub jakąkolwiek namiętnością zaślepieni. I z tych wielu sarka i jątrzy się na wielki świat. Nierozsądni utrzymują, że w salonie powinno być zbiorowisko wszystkich potęg umysłowych, gdzieby każden dla wzajemnego użytku mógł złożyć owoce zdobyte swym trudem umysłowym. Na to są sejmy, sądy, towarzystwa uczone i dobroczynne, przemysłowe, handlowe i rolnicze. Inni znów sądzą, że „salon to chata podniesiona do ideału.“ Ależ chata taka byłaby świątynią cnót domowych, prawości charakteru, pracowitości i spichlerzem obfitości i bogactwa, tego owocu wytrwałéj pracy i oszczędności. Gdy tymczasem w salonie objawianie czułości małżeńskiéj uważane bywa jako ckliwość; z pracowitością tam się raczéj taić wypada; prawość charakteru, jakkolwiek w pewnych granicach bywa cenioną, to jednakże tak ściśle nie śledzą jéj jak w chacie zidealizowanéj, w któréj sielankowość panuje, — gdy w salonie dramat i wyższa komedja mają swe źródła, bieg i ujścia, a częstokroć i tragedja swe rozwiązanie, zwłaszcza, gdy się jacy niewtajemniczeni tamże weisną i popsują zwykły porządek.

Ale cóż wdawać mi się w długie teorje, gdy praktyka we wielkim świecie wszystko stanowi. — Ufaj mi redaktorze. Sam cię wprowadzę w ten świat, który tylko znasz z opowiadań. Upadam do nóżek i całuję stópki pani. Adio. Chodźmy w drogę.

Spojrzałem na redaktora, wpatrzył się w gniewną

Powagę, która na mnie ani spojrzeć nie raczyła. I wahał się wyjść ze mną.

Ależ... bo... przecież... rzekł.

Ha — zostańżeż pan sobie z panią Powagą! Zaprzęże cię do ciężkiéj pracy, pilności w zawodach i wytrwałości w biedzie. Pfe! — któż widział pracować. Gdy zostaniesz przyjętym do wielkiego świata, nic nie będziesz robił, — chyba że zgarniać złoto i słuchać pochlebstw.

Czy tak? odrzekł mi. Zaraz idę z tobą. Złota mi potrzeba dla współpracowników, — a nic nie robić i żniwować pochlebstwa — to pasjami lubię. Chodźmy.

Powaga wróciła we wnętrze książki — niezadowolona widocznie — a ja wsadziłem redaktora na swe barki i ruszyliśmy we wielki świat — dla wyuczenia go — praktyki.

* * *

Ofruwaliśmy najrozliczniejsze salony wszystkich części świata — wpadając z radości w rozkosze, ze zabaw kanibalskich we wykwintności salonów Petersburga lub Jeddo. Redaktor walne czynił postępy.

We Wenecji przekonałem go, że pracować — jest rzeczą obrzydliwą życia — ale nie godne wielkiego świata, bo praca sprawia nieprzyjemność, trud i suszenie mózgu. Owszém im kto więcéj i twardziéj pracuje, tém mniéj ma nagrody. Poecie z wielkiego świata za kilka wierszy, które w pół godziny napisał, dała ś. p. Rzeczpospolita Wenecka tyle cekinów, ile przez rok cały nie wypłacono dziesięciu rodzinom robotników. Sam czytelniku, nie zapłaciłeś za chwilową błahą usługę częstokroć więcéj, choćby n. p. za h o n o r, że z tobą ktoś raczył zjeść obiad, — niż swemu służącemu za całoroczną pracę? Czemu? bo tamten był człowiekiem z wielkiego świata, a ten nie!..

W Paryżu doszedł do przeświadczenia, że świat ten czarujący więcéj dbać musi o formy — niż o treść. Cóż z tego, że te formy są złudzeniem, — ale ileż to dowcipu i przebiegłości było trzeba, ażeby tak mistrzowsko ułożyć się wzajemnie, ażeby każdy jak aktor odgrywał w salonie rolę upodobaną i żeby wszyscy wierzyli w to, że on jest tym, czém być pragnie!... W salonie każdy prawdę mówi — a nie wierzyć w nią — jest ciężkim grzechem. Ztąd to Tayllerand miał słuszność, gdy wykrzyknął: „Grand Dieu, toć on więcéj niż zbrodnię popełnił — bo zrobił głupstwo!!...“

Nie prześliczna-ż to scena salonowa: „Jakżeż z tyle mi cenném zdrowiem pańskiém? mnie tyle bolesném, że panu nie mogę ulżyć cierpienia!“ rzekła do swego sąsiada jak rydz zdrowego panienka, która chciała być pochwaloną.

„„Najserdeczniéj dziękuję za tyle współczucia. Patrząc na wdzięki pani zapominam nawet o tém że żyję. Pani byś mnie niemi z grobu na świat do życia na jéj usługi przywołała““ odrzekł sąsiad, myśląc o tém, czy mu konia wyścigowego tak zapłacą jak sobie życzy.

I oboje rozeszli się uradowani sobą wzajemnie.

„Nie na toż mowę nam Bóg nadał, ażeby nią taić myśli?“ zapytał Tayllerand.

Gdy w życiu tyle namozolić się trzeba, ażeby choć jednę prawdę naukową zdobyć lub tylko zgłębić — we wielkim świecie nie potrzeba się niczego uczyć a wszystko wiedzieć można. Co za genjalny pomysł, żeby właśnie każdy o tém stanowczo, bezwarunkowo i nieodwołalnie zawyrokował, o czém właśnie ani pojęcia, ani wyobrażenia nie ma, — byle wyrok był — dowcipnym. I tak n. p. studencik wydaje sądy — o polityce; starzec głuchy — o ślicznym śpiewie dyletantki; wojak — o religijnéj miłości bliźniego; poeta — o mechanice; młoda zakochana para — o prawach leśnych fiskusowych; kupiec — o bezinteresownéj przysłudze i poświęceniu się dla bliźnich; polityk — o astronomji; archeolog — o weterynarji; stary kawaler — o obowiązkach małżeńskich; muzyk — o filozofji. Cóż bo za sztuka mądrze rozprawiać o tém, co kto zna doskonale!...

Bardzo, bardzo słusznie wyrugowano z wielkiego świata wszelkich zażartych uczonych fachowców, którzy swą niezręcznością ruchów budzą w nas politowanie — tę siostrę rodzoną pogardy. Coby nerwów nie nadrażnił każden zaciekły polityk, który o matematyce rozprawiając, rad uczepić się religji; w każdym badaczu prawdy przeciwnéj światłu upatruje burzyciela porządku społecznego, obsypując go rozmaitemi niesalonowemi nazwami: bezwyznaniowca, liberała, ateusza, farmazona, jakobina a w końcu komunisty i nihilisty; co po historykach którzyby się silili na fałszowanie historji w duchu: siła przed prawem; co po literatach co z katedr uniwersyteckich szkalują przeszłowiecznych poetów — że myśleli i czuli jak im duch czasu kazał; a nawet anatomom przebaczyć nie mogą, że uważają serce za naczynie dla krwi ludzkiéj, a nie za siedzibę ducha w człowieku. Nie! niech salon przynajmniéj pozostanie tą oazą pustyni, w któréj gorący samum piaskiem nie zamuła piersi przy oddechu, a czysta świeża w o d a pokrzepia znużone podróżą ciało, — bez względu na to czy to giaura, czy wielbłąda, czy muzułmanina. Toć i wielbłąd jest stworzeniem Bożem, a cóż dopiero ludzie.

Wielki świat jest fanatykiem pokoju i spokoju. Lecz takimi być powinni i prawdziwi literaci. A jeżeli ma być walka, niechże się zakończy — uśmiechem, uścišnieniem dłoni i słowy Chrystusa: „Przebacz nam nasze winy, jak my... Dla tego fanatyzmu unika się objawów, choćby najszczytniejszych uczuć, psujących ogólną harmonję. Kto tęskni w gronie osób za urokiem natury, niech rusza w Beskidy, choćby tam i kark złamał, ale niechżeż tém nie przypina łatek towarzystwu, że się w niém nudzi. A jeżeli się przypina łatkę, to tam właśnie, gdzie są małe plamki. Łatki te rozśmieszą, pokrywając coś więcéj rażącego. Materjału na nie dostarczy sowicie dowcip i dla tego w świecie jest on tém, czém rozum lub doświadczenie w życiu.

Zabawny to świat, nie prawdaż, gdzie eposowe krwawe zapasy wojny jedném słowem równoważą z tryjumfem, jaki n. p. ta dama odniosła nad swoim nibyto adoratorem; jedném spojrzeniem z ukosa, obrylantowaném nadziemską gracją, z jaką mu posłała ukłon wachlarzem! Taki ruch jeden estetyczny sprawia tam często silniejsze na pozór wrażenie, niż zdumiewający walny czyn polityczny, który pominą milczeniem, bo mógłby rozbić salonowe grono na stronnictwa lub rozdraźnić do zajadłych sporów. Ztąd też często jaka pozorowo bagatelna myśl, ale wyrzeczona we ważnéj okoliczności, niby ogień przebiega świat, a nie jest nawet zrozumianą w życiu.

La Rochafoucault utrzymuje, że zaufanie dostarcza więcéj przedmiotu do rozmów, niż najobfitszy dowcip.

Jak wszędzie tak i w salonie zamiera rozmowa, skoro się zjawia ktoś obcy. Z tego powodu zupełnie nieznanych nie wpuszcza się w towarzystwa, a w świecie bardzo skrupulatnie badają każdego poprzednio w rodzinnych gronach i gdy tamże zjedna sobie zaufanie, wprowadza go się — w świat. Tam częstokroć jedném słowem, jednym ruchem może stać się ulubieńcem towarzystwa, — gdy tego nie dokaże nikt, choćby miał jak najwięcéj uznane zasługi w życiu. Takie osobistości, które umieją wybornie „gawędzić“ i eleganckie mają ruchy, „królują“ w świecie.

Ztreszczając wszystkie najniezbędniejsze zalety ludzi wielkiego świata, każdy chcący tam trwałém cieszyć się nie powiemy powodzeniem, ale miłém przyjęciem, powinien znać „pewną odcień pomiędzy dowcipem a naiwnością; pomiędzy mądrością a nieświadomością; mieć więcéj dobrego smaku (naturalnie, że nietylko przy obiadach, ale głównie w ubiorze i w sądach o wszystkiém)

niż dowcipu; więcéj taktu niż zdolności umysłowych; raczéj żyć zbytkownie niż bogato; wiele dobrego ułożenia, a co najwięcéj giętkości charakteru; ile możności nie piastować żadnego urzędu, ani nie mieć żadnego płatnego w życiu zajęcia, ani znanéj profesji lub dokładnie wiadomego zależnego sposobu utrzymania się.“

„I ten szczęśliwy świat mierności, nie ubiegający się o żadne zaszczyty i nie mający ich zgoła, nadaje wartość ludziom i rzeczom, rozporządza posadami i urzędami najwyższemi w państwie i życiu, wytwarza tamże reputacje albo niweczy je, — potrafi zbogacać swych faworytów lub szkodzić dokuczliwie swym nieprzyjaciołom. Młodzież — jak ministrowie; kupcy — jak literaci; piękne kobiéty — jak chciwi sławy starcy; — zgoła wszyscy ludzie życia, skoro ich nazwisko dostanie się jakim sposobem na tapet ludzi wielkiego świata, zawiśli od niego, jemu są winni swe powodzenie w życiu, zależne od wziętości jakiéj doznaje — w salonach.“

Wielki świecie!

Wiesz że należę do ciebie duszą i ciałem od wieków. Znam swego pupila redaktora od pół wieku. Polecam ci go najsumienniéj, — jeżeli nie: jako młodzieńca pełnego nadziei, bo — co prawda — już skończył rok 20, ale jako:

1) do tyla lekkiego z całym jego rozumem: żem go mógł na swych komarzych barkach obnosić po wszystkich możliwych salonach. Ręczę ci przeto, że ta odrobina nie może być niebezpieczną, choćby i kogo nierozmyślnie potrącił;
2) zważywszy, że nigdzie a nigdzie nie zwrócił na siebie żadnéj uwagi, owszém wszędzie przechodził niespostrzeżony i niedostrzeżony... czyż można żądać lepszego dowodu jego duchowéj mierności przez świat wymaganéj??!...
3) zważywszy nadto, że jako redaktor — w życiu nie ma żadnego znaczenia;
4) że obiecał nic nie pracować, — a żyje nikt nie wie jak i czém;
5) że jest raczéj zbytkowny niż bogaty, bo ma zbytkowny kałamarz i zbytkowne biórko, chociaż nie ma wielu rzeczy mu potrzebniejszych;
6) że, co najważniejsze — osobiście mu dałem jak najlepsze, praktyczne ukształcenie salonowe i uznaję go niniejszém za swego najukochańszego ucznia; tuszę sobie, że:

pod jego salonowym kierunkiem wychodzący Tygodnik Wielkopolski przyjąć raczysz o wielki świecie z oklaskiem, —

a mianowicie Ty niedoścignienie urocza, mądra, piękna bogini moja — czytająca czytelniczko, — i wy naj- naj- najdrożsi nic nie czytający a wszystko wiedzący czytelnicy.

Za waszą to protekcją wartość tego pisma podnieść się może od 4 do 40 talarów rocznéj prenumeraty, — i podrość do dwóch miljonów abonentów. Tego ostatniego przedewszystkiém potrzeba, ażeby ukształcić pod salonowym kierunkiem nasze społeczeństwo, kłócące się jak najniesalonowiéj pomiędzy sobą do tego stopnia, że już we wielu domach: „Dziennik Poznański“, „Kurjera Poznańskiego“, „Tygodnik Katolicki“, „Kraj“, „Orędownika“, „Dziennik Polski“, „Czas“, „Gazetę narodową“ i inne tym podobne, — dzieciom, guwernantkom i guwernerom, kawalerom i pannom na wydaniu — zakazano te pisma brać do ręki!!... Jeżeli się atoli to, o com wyżéj tak pokornie prosił, nie stanie, a szczególniéj: jeżeli upadnie Tygodnik Wielkopolski, — ja pierwszy gotów jestem zwątpić: czy w ogóle wielki świat istnieje we Wielkopolsce, Prusach i Szlązku?! — a co gorsza, obiecuję porzucić i wyrzec się raz na zawsze: wszelkich zasad wielkiego świata — jako nawet i djabła nie wartych.

Sydaław Chochlik, I.

Kobieta w historji sztuki.

Napisał
W. J. Wdowiszewski.
(Dokończenie.)

VIII.

Do najmilszych chwil życia mego liczę godziny spędzone w Twojém towarzystwie, łaskawa Pani. To też, gdy minęły owe chwile, a ja oddalony od Ciebie daleką przestrzenią, nie mogłem ujrzeć Twojéj twarzy, ani usłyszeć głosu, ni uśmiechu zobaczyć na twych ustach, pióro stało się pośrednikiem między nami i choć w części zastąpiło rozmowy, któreśmy z takiém zajęciem prowadzili podczas długich zimowych wieczorów o kwestjach społecznych, naukowych i artystycznych; rozmowy, w których nie szczędziłaś Pani dowcipu i fantazji, jakiemi cię tak bogato obdarzyła natura, ani też rozległego na naukę i życie poglądu, który jest tylko głębokich dusz przymiotem.

Pani nakłoniłaś mnie także do napisania szeregu listów o kobiécie-artystce, a gdy dziś, listem niniejszym mam zakończyć naszą o artystkach rozmowę — smutno mi rozstać się z Panią, i gdybym mógł, przedłużałbym w nieskończoność opowiadanie moje.

Ale trudno — raz zakończyć musimy.

Przesunąłem przed Panią szereg dziejowych obrazków, na których tle przedstawiała nam się kobiéta jako artystka.

Przenieśliśmy się duchem w starożytność, najpierw zwiedziliśmy wschód, następnie Helladę i Rzym. Widzieliśmy jak powstawał chrześcijanizm a z nim wyzwolenie kobiéty. Oglądaliśmy wieki średnie, w których nauka miłości chrześcijańskiéj stawała się zwolna martwym dogmatem a miasto światła panowała nad duchami ciemnota. Byliśmy świadkami dziejowego świtu w wieku piętnastym i oglądaliśmy jak szesnasty wiek obalił średniowieczność i zajaśniał w całym blasku piękności dziejowéj. Podpatrywaliśmy jak w wieku następnym pracowały ludy koło wolności religijnéj i politycznéj, jak z końcem wieku siedmnastego budził się rozum z uśpienia, aby w wieku ośmnastym przemówić słowami największych myślicieli i spowodować dziejowy zwrot w końcu wieku — rewolucją. Rzuciliśmy okiem na stan duchowy obecnego stulecia i na tém zakończyli opowiadanie nasze.

Widzieliśmy więc, że ludzkość w postępie dziejowym idzie ku światłości; z nią kobiéta, a w kobiécie artystka.

Widzieiiśmy jak z każdym wiekiem mnożyła się liczba kobiét poświęcających się sztukom plastycznym, jak się powiększała ilość utalentowanych artystek.

Czyż mam mówić o przyczynach tego zjawiska?

Toż jest widoczném, że ludzkość gromadząc z wiekami coraz większe zasoby wiedzy i uszlachetniając ducha swego, zwracała się ku sztukom pięknym tém gorliwiéj, im lepiéj pojmowała, że one są potężnym czyn-

nikiem umysłowego postępu, że wielki wpływ wywierają na ogólne wykształcenie ludzkości.

Kobiéta, któréj stanowisko polepszało się w miarę duchowego postępu ludzkości, biorąc udział w wiekowéj pracy ogólnéj, nie mogła nigdy zostać obcą panującemu prądowi, a udział jéj w pracach około sztuk plastycznych może być skalą do ocenienia wielkości zajęcia, jakie ludzkość w pewnym wieku sztukom tym okazywała.

Praca artystyczna kobiéty jak z jednéj strony służyć może za miarę ogólnego zajęcia sztuką, tak z drugiéj strony jest dowodem, że polepszenie stanowiska swego nie zawdzięcza kobiéta li tylko wpływom ducha wieku, lecz także sobie saméj, gdyż gorliwie pracowała w celu polepszenia tego.

Nim krytycznie ocenimy pracę artystyczną kobiéty, musimy zebrać pewne statystyczne daty, mogące służyć za podstawę sądu. Wynikają one z naszego opowiadania; Pani sama mogłabyś je odnaleźć i zestawić, tak są w oczy bijące.

W opowiadaniu nie przytoczyłem nazwisk wszystkich artystek — dla tego tutaj wypada mi podać liczbę ich ogólną, o ile wystarczają materjały. Liczba ogólna znanych mi artystek dochodzi do 1,120.

Teraz rozdzielmy sztukę plastyczną na architekturę, rzeźbę, malarstwo i spytajmy o udział kobiéty w tych trzech gałęziach sztuki.

Przejrzawszy nazwiska i oceniwszy działalność znajdujemy zaledwie jednę artystkę, któréj możemy dać nazwisko architekta.

Udział więc kobiéty w pierwszéj gałęzi sztuki plastycznéj jest w obec wielkiéj liczby artystek — prawie żadnym.

Więcéj kobiét trudniło się rzeźbą, bo około 40. Celniejsze z nich wymieniłem w ciągu opowiadania. Jeżeli bliżéj przypatrzymy się czynności artystycznéj rzeźbiarek, uderzy nas, że największa część tychże poświęcała się łatwiejszym i bardziéj delikatnym gałęziom rzeźby t. j. tym, które obrabiają materjał podatniejszy, n. p. wosk. Wypukło i płaskorzeźba ma w ogóle więcéj adeptek jak rzeźba posągowa.

Liczba rzeźbiarek pracujących w materjale trudnym do obrobienia a wymagającym wielkiéj technicznéj zręczności, więc medalerek, rytownic gameji jest bardzo mała; najmniejszą liczbę wykazuje rzeźba w marmurze i bronzie, rzeźba pomnikowa. Dopiéro w ostatnich czasach odważyła się kobiéta spróbować sił artystycznych w téj gałęzi rzeźby.

Jak więc widzimy, zaledwie dwódziesta siódma część ogółu artystek pracowała w rzeźbie; wszystkie inne poświęcają się malarstwu. Do téj gałęzi liczę także sztuki rozpowszechniające, jak rytownictwo na różnych metalach i drzewie.

Jeżeli przejdziemy koleją liczne rodzaje malarstwa, otrzymamy następujące wyniki.

Największą liczbę artystek zatrudniał portret. Prawie wszystkie celniejsze malarki były portrecistkami.

Równie wielką jest liczba miniaturzystek i na uwagę zasługuje, że praca kobiéty w tym rodzaju malarstwa jest najwcześniejszą, gdyż już starożytność szczyci się znakomitą miniaturzystką.

Mniejszą, choć także bardzo znaczną jest liczba artystek malujących owoce i kwiaty. Rodzaj ten szczyci się wysoce uzdolnionemi artystkami, a kilkanaście z nich mieliśmy sposobność poznać w ciągu opowiadania.

Krajobraz i zwierzyna stają co do liczby artystek prawie na równi a ilość malarek w tych dwóch rodzajach jest o połowę mniejszą od malarek owoców i kwiatów.

Malarstwo rodzajowe stoi co do liczby hołdujących mu artystek między krajobrazem a malarstwem historycznem, a jakkolwiek liczba artystek jest małą, zasługuje przecież na szczególną uwagę z powodu kilku górujących talentów.

Malarstwo historyczne ma tak mało przedstawicielek, że je do kilku jednostek sprowadzić możemy. Rozdzieliwszy znów malarstwo historyczne na religijne i świeckie spostrzeżemy, że temu ostatniemu poświęcają się tylko wyjątki a przeważna liczba hołduje malarstwu religijnemu.

Najmniejszą jest liczba artystek pracujących w dziale malarstwa architektonicznego — da się ona zredukować do 3 lub 4 nazwisk.

Sztuki rozpowszechniające były prawie najulubieńszém polem artystycznéj działalności kobiéty, to też liczba miedziorytniczek n. p. dochodzi 230 a liczba kobiét pracnjących w drzeworycie, stalorycie rośnie z dniem każdym.

Freskowém malarstwem trudniły się tylko nieliczne jednostki. Tak samo rzecz się ma z malarstwem na szkle i emaliowém.

Oto są statystyczne dane, określające czynność artystyczną kobiéty.

Architektura prawie nietknięta — rzeźba reprezentowana nielicznie — malarstwo zajmujące najznaczniejszą liczbę artystek.

W rzeźbie uprawiane rodzaje łatwiejsze do technicznego wykonania lub trudne a delikatne, ale w obu razach takie, że wymagają raczéj artystycznego odtworzenia istniejącego rzeczywiście p r z e d m i o t u, nie zaś odtworzenia m y ś l i.

W malarstwie spotykamy ten sam objaw. Najwięcéj uprawianemi gałęziami są te, które polegają na odtworzeniu jakiegoś przedmiotu natury, więc malarstwo portretowe, krajobraz, owoce i kwiaty, zwierzyna — a mniéj obraz rodzajowy — najmniéj zaś malarstwo historyczne, w którém przeważa myśl, pomysł i warunkuje artystyczne odtworzenie przedmiotów natury.

Dalszym wynikiem naszego przeglądu artystek jest, że one najchętniéj zwracają się ku tym rodzajom malarstwa, które wymagają delikatności traktowania, więc ku miniaturze — a jeszcze chętniéj ku sztukom rozpowszechniającym, więc drzeworytnictwu i miedziorytnictwu, gdzie fantazją artystyczną zastępuje ścisłość i delikatność technicznego wykonania.

Teraz zapytajmy się dla czego kobiéta jako artystka rzadko kiedy i tylko wyjątkowo zajmowała się przedstawieniem myśli?

Na takie pytanie odpowiedzianoby przed kilkudziesięciu laty: że kobiéta jest do tego niezdolną — my o tyle postąpiliśmy, że odpowiadamy: bo nie mogła.

Czy przeszkodą była kobiécość? Nie.

Jakkolwiek fizyczna organizacja kobiéty może mieć i miała niejaki wpływ na jéj artystyczną działalność i na dotychczasowy kierunek jéj artyzmu, nie sądzę jednak, żeby fizyczny ustrój do tego stopnia był wpływowym, aby go brać za najważniejszy czynnik krytyczny przy ocenianiu prac kobiéty-artystki.

Główną przyczyną kierunku, w jakim się rozwijała działalność artystyczna kobiéty, jest jéj stanowisko społeczne, wychowanie i wykształcenie.

Jeżeli żądamy od kobiéty-artystki aby w sztuce zrównała mężczyznie, aby stworzyła we wszystkich rodzajach sztuki takie arcydzieła jak on stworzył — to spytajmy się pierwéj czyśmy jéj dali środki do takiego samego artystycznego wykształcenia jak mężczyznie.

Odpowiedzieć musimy że: nie.

Nie przeczymy, że z postępem czasu polepszało się stanowisko kobiéty w społeczeństwie, owszém, sami na to niejednokrotnie położyliśmy nacisk; jednak z drugiéj strony przyznać musimy, że stanowisko to nigdy nie było takie, aby sprzyjało swobodnemu rozwijaniu się pracy kobiécéj na polu sztuki.

Brakowało dotąd kobiécie samoistności czynu i sa-

moistności myślenia. Ograniczano jéj obywatelską działalność na każdym kroku; w wychowaniu i wykształceniu kładziono główny nacisk na pobudzanie uczuć a zaniedbywano rozmyślnie rozumu.

Szkoły publiczne nie istniały dla kobiéty; kształciły ją klasztory — więc jednostronnie, albo kształciła się sama — najczęściéj niesystematycznie.

Mężczyznie stały otworem świątynie nauki; mógł w nich czerpać skarby wiedzy; wolną była arena publicznego życia, więc miał sposobność poznania dążeń ludzkości i ducha wieku w którym żył; nikt mu nie bronił studjów anatomicznych i studjów życia.

Dla kobiéty nie istniały te środki wykształcenia, znosił je przesąd, fałszywy wstyd lub niewiadomość.

Tam gdzie mężczyzna szedł swobodnie, kobiéta musiała iść przebojem, a jeśli mimo wszelkich przeszkód kobiéta-artystka szła naprzód i zyskiwała coraz obszerniejszy zakres czynności, może to służyć za dowód żywotności sił jéj artystycznych.

Wszelkie pojawienie się kobiéty na arenie publicznego życia było do niedawna wyjątkowém, a nawet największa liczba wyjątków nie może być wziętą za normalny społeczny ustrój.

Dla tego i kobiéta-artystka jest wyjątkowém zjawiskiem, jakkolwiek liczba tych wyjątków jest znaczna.

Kobiéta odsunięta od czynności obywatelskich i publicznego życia, nie mogła się obznajomić bezpośrednio z duchem i dążeniami wieku; nie mogła zyskać poglądu na historją i życia ludzkiego stósunki; wrażenia otrzymywała za pośrednictwem osób drugich, więc ukształtowane według obcych pojęć.

Brakowało jéj środków do artystycznego wykształcenia się; pozwalano jéj studjować pewne tylko gałęzie sztuki; ukrywano przed nią wszelkie ważne wiadomości artystyczne; wiadomości, które były nieodzownemi do tworzenia dzieł głębszéj i donioślejszéj treści.

Czyż nas po tém, co powiedzieliśmy, zadziwi, że artystka zwróciła się do przedstawiania przedmiotów natury, do rodzajów sztuki wymagających i mniejszego zasobu fantazji artystycznéj i mniejszego zakresu wiedzy?

Ona musiała działać w tym kierunku, bo ani stanowisko społeczne, ani wychowanie, ani wykształcenie nie uzdalniały ją do tworzenia dzieł artystycznych, w których myśl bierze górę nad przedmiotem.

Że kobiéta jest zdolną do tworzenia dzieł głębokiéj treści — w razie jeśli otrzymała odpowiednie wykształcenie — dowodzi nietylko kilka znakomitych poetek, ale także kilka malarek, że wspomnę tutaj tylko Angelikę Kaufmann i Artemizją Gentileschi.

Wynik jakiejkolwiek pracy jest zawsze odpowiedni stósunkom w jakich praca dokonaną została. Tak samo rzecz się ma z kobiétą-artystką. Śmiesznémby byłoby żądać od niéj utworów do których ani ją wykształciła ludzkość, ani téż wykształcić się pozwoliła.

Uczcijmy raczéj pracę artystki, gdyż mimo wszelkiego ograniczenia artyzmu, zdziałała bardzo wiele, a liczne nazwiska w ciągu opowiadania przytoczone, mogą być chwałą niewieściego rodu i zachęcić tegoczesne artystki do tém gorliwszéj pracy na polu sztuki.

Stanowisko artystki w wieku naszym pozwala jéj stanąć w zawody z mężczyzną — gdyż dziś otwarte są dla niéj nieprzystępne dawniéj podwoje nauki i sztuki. Od niéj saméj zależy zużytkowanie sił własnych i środków wykształcenia.

Rosnąca codziennie liczba artystek dowodzi wielkiego zajęcia sztuką. Niechże natężenie pracy będzie odpowiednie liczbie. Da się to uskutecznić wykorzenieniem amatorstwa — w jego ujemném znaczeniu — a zastąpieniem go sumiennością pracy.

Dziś wzruszamy ramionami na dyletantyzm artystyczny, i jak nie każdą z Pań grających na fortepjanie nazywamy pianistką, tak nie każdą kobiétę, umiejącą troszkę rysować, nazwiemy malarką.

Sztukę trzeba rozumieć i kochać — bawić się sztuką nie można. Gruntowne wykształcenie artystyczne jest dziś nieodzownym warunkiem artystycznego tworzenia; bezmyślność jest nam wstrętną, a od manekinów bez życia odwracamy się z pogardą.

Studja historyczne — obznajomienie się z dążeniami wieku pod względem politycznym, społecznym i naukowym; studja natury i studja towarzyskiego życia muszą stać się nałogiem artysty, jeśli fantazja jego ma tworzyć dzieła wpływowe i zgodne z wymaganiami wieku, jeśli nie chce zginąć w „zapomnienia fali.“ Bez tych warunków największa zręczność techniczna wyda tylko okazy sztuczności — nie sztuki.

Jeśli więc kobiéta chce zasłużyć na miano artystki, jeśli chce stanąć w zawody z mężczyzną o artystyczne wieńce, jeśli chce zyskać dla siebie cześć współczesnych i wspomnienie w dziejach sztuki — niechże odpowie powyższym warunkom.

Zbliżmy się do końca łaskawa Pani.

Celem pracy niniejszéj było historyczne przedstawienie działalności kobiécéj na polu sztuki. Dalszym celem, nie wypowiedzianym wprawdzie głośno, ale który Pani mogła wyczytać między wierszami, jest wskazanie kierunku jakim dotąd szła artystka a jaki znowu może i powinna obrać w przyszłości; jest zachęcenie młodych talentów niewieścich do pracy artystycznéj — obok wykazania trudności obranego zawodu.

Miłém byłoby dla mnie wspomnienie chwil wieczornych, w których pisałem te listy, gdybym się dowiedział, że nie chybiły celu swego; że przyniosły korzyść jakąś młodym orlętom rwącym się do lotu w dziedzinie sztuki.

Pod adresem Pani posełam im jeszcze raz zachętę — do pracy!

Przed wami przyszłość!

Skrzynka do listów.

— Szan. X. Lic. Chotkowski z Poznania odpowiedział najgruntowniéj na pytanie 2, tyczące się postu sobotniego, którą to odpowiedź, dla braku miejsca, w następnym podamy numerze.

— A. S. Samborz. W zeszłym tygodniu wyprawiono odpowiedzi żądane.

— Br. Woł. Wiedeń. Victorg. I. W przyszłym numerze.

— Nat. Sul. Kraków. Obszernie odpowiemy.

— E. Kasprowicz. Lipsk. Zagadka z Nr. 2 nie rozwiązana dotąd.

— J. N. G. Krosno. Prześlemy z listem.

— Stud. z Przemyśla. Za trafne uwagi szczere dzięki — ale czemu „najdoborowszy“ ma być niezrozumiałem? Według stawu grobla, — do tego nas zmusza niedostateczna ilość prenumeratorów. Prosimy o dalsze uwagi, = gdy się nawiną.

— M. Woł. n. r. p. Agat. Giller'a. Lwów. Rynek 27. Radaby dusza do nieba, — ale ją grzechy trzymają.

— hr. M. z L S. w Cz. Listownie podziękujemy za łaskawe względy.

— hr. E. T. T. Drezno:

All yet seems well; and, if it end so meet,
The bitter past, more welcome is the sweet.
Shakspeare.

— D. W. Z Pierzchno. Preggiatissime del 15 e. 21 c. m. ricevemmo col contenuto. Sfortunatamente Ella mandò il seguito ch'abbiamo, invece dell' antecedente ch'è perso. Mandiamo lettera.

— Władysł. Kisielewski. Wiedeń. 5 taubstummeng. Bardzo chętnie. Przesyłamy tegoroczne numera: — późniéj pomówimy obszerniéj w liście.

Upraszamy p. Wacława Junoszę Suleizyckiego o adres swego chwilowego pobytu. Jest tu list od Włodz. Wolsk. Nasz jest na czele numeru.

Odpowiedzialny redaktor Franciszek Sadowski. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego i u M. Leitgebera.